

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

SAM

Następnego ranka miałem nieszczerłą ochotę, żeby iść do pracy – przecież zbliżał się koniec świata – ale nie potrafiłem wymyślić wystarczająco przekonującej wymówki dla Karyn. Chcąc nie chcąc, pojechałem więc do Mercy Falls. Nie byłem w stanie znieść odgłosów, jakie wydawała przemieniona w wilka Grace szamocząca się w łazience na dole, więc w pewnym sensie wyjście z domu przyniosło mi ulgę, choć miałem wyrzuty sumienia, że ja odczuwam. To, że nie będę już świadkiem paniki Grace-wilka, pozostawionej samej sobie, nie oznacza, że ona przestanie się bać, gdy ja będę w pracy.

To był piękny dzień, bez śladów deszczu po raz pierwszy od tygodnia. Niebo o wiele miesięcy za wcześnie przybrało marzycielską letnią barwę, a liście drzew lśniły tysiącem odcieni zieleni, od jaskrawych – jakby plastikowych – po niemal wpadające w czerni. Zamiast zaparkować za sklepem, jak zwykle, tym razem zatrzymałem się na Main street, ale na tyle daleko od centrum, żebym nie musiał karmić drobniakami parkometru. W Mercy Falls centrum ograniczało się do kilkunastu budynków. Zostawiłem kurtkę na miejscu pasażera, schowałem dłonie do kieszeni i ruszyłem spacerkiem przed siebie.

Mercy Falls nie było zamożnym miasteczkiem, ale na swój sposób było to urocze miejsce, które mogło się pochwalić prosperującym centrum. Urok tej miejsciny oraz bliskość przepięknego regionu Boundary Waters przyciągały turystów, a turyści przywozili ze sobą pieniądze. Mercy Falls dysponowało kilkoma kwartałami małych butików, które odpowiadały za to, żeby turyści zostawiali tutaj sporo gotówki. Były to głównie sklepiki uwielbiane przez kobiety, których mężowie podczas zakupów czekali znudzeni w samochodzie albo wąłęsalili się po sklepie z narzędziami na Grieves Street – pomimo to zerkałem na ich witryny, gdy je mijałem. Szedłem brzegiem chodnika, żeby złowić choć odrobinę nieśmiałego porannego słońca. Jego ciepło na skórze było cudownym uczuciem, nagrodą pocieszenia za ten straszny, choć jednocześnie wspaniały tydzień.

Minąłem właśnie sklep z ubraniami i biżuterią, gdy nagle zatrzymałem się, cofnąłem kilka kroków i ponownie stanąłem przed witryną. Na wystawie na bezgłowym manekinie wisiała biała letnia sukienka. Bardzo prosta, na cieniutkich ramiączkach, wiązana w talii. Materiał był ozdobiony małą haftowanymi dziurkami – nazywano to chyba haftem angielskim. Wyobraziłem sobie Grace w tej sukience, trójkąt nagiej skóry jej dekoltu, rąbek opadający tuż powyżej kolana. Mogłem też sobie wyobrazić jej biodra pod cienkim materiałem, który zmarszczyłby się pod moimi dłońmi, gdybym przyciągnął ją do siebie. To była beztroska sukienka. Sukienka, która mówiła o lecie, sięgającej kostek trawie i blond włosach płowiejących pod naporem zdecydowanych promieni słonecznych.

Stałem przed wystawą przez dłuższą chwilę, patrząc na sukienkę i pragnąc tego, co sobą symbolizowała. Wydawało mi się, że to głupie myśleć o czymś tak błahym, kiedy gra toczyła się o tak wysoka stawkę. Trzy razy przestąpiłem z nogi na nogę, zamierzając odjechać. I za każdym razem przed sklepową witryną zatrzymywał mnie obraz Grace – wiatr unoszący rąbek sukienki, dociskający materiał do jej płaskiego brzucha i kształtnych piersi.

Kupiłem ją. Miałem przy sobie cztery dwudziestodolarówki – a opuściłem sklep tylko z jednym banknotem z portfela zaopatrzony w małą torebkę z sukienką na dzień. Wróciłem do samochodu, żeby zostawić w nim zakup, a potem ruszyłem z powrotem do „Krzywej półki”, ze wzrokiem utkwionym w chodniku, czując ciepło i niepewność związaną z tym, że kupiłem Grace prezent, który kosztował więcej niż moja dniówka. A co, jeśli jej się nie spodoba? Może powinienem oszczędzać na pierścionek... Nawet jeśli mówiła serio i chciała za mnie wyjść, co swoją drogą uważałem za niewiarygodne, pierścionek wydawał mi się tak odległą sprawą. Nie miałem pojęcia, ile coś takiego kosztuje, ale zapewne powinienem zacząć

oszczędzać. A co, jeśli jej powiem, że mam dla niej prezent, a ona będzie oczekiwała pierścionka i się rozczaruje? Czułem się jak najdojrzalszy, a zarazem najmniej doświadczony dziewiętnastolatek na planecie. Z jednej strony dziwiło mnie, że myślałem już na serio o pierścionku, a z drugiej strony byłem na siebie zły, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Być może – znając jej praktyczne podejście do życia – Grace będzie zła, że kupiłem jej prezent, zamiast zająć się sprawą polowania...

To były wątpliwości, nad którymi głowiłem się w drodze do księgarni. Umysł miałem kompletnie oderwany od ciała. Gdy otworzyłem sklep, pomyślałem, że to odległe, samotne miejsce poza czasem.

Była sobota, więc po godzinie w księgarni pojawiła się Karyn. Weszła drzwiami od zaplecza i zamknęła się w małym pokoju, żeby wypisać zamówienia i uporządkować raporty finansowe. Moje relacje z właścicielką były bardzo przyjazne. Miło było wiedzieć, że jest w sklepie, nawet jeśli ze sobą nie rozmawialiśmy.

Nie było klientów, a ja byłem niespokojny, więc poszedłem na zaplecze. Słońce wpadało przez frontowe okna, a jego promienie były tak silne, że docierały aż na tył sklepu. Grzały moje plecy, gdy stanąłem w drzwiach pomieszczenia.

– Cześć – przywitałem się.

Karyn siedziała otoczona fakturami i katalogami książkowymi. Spojrzała na mnie z uśmiechem. Wszystko w niej było zawsze nasycone życzliwością. Należała do tych zadowolonych ze wszystkiego kobiet, które dobrze się czuły we własnej skórze i w swoim otoczeniu, niezależnie od tego, czy miały na sobie polar, czy perły. Jeśli nawet zmieniała zdanie na mój temat, kiedy zniknęła Grace, nie pokazała tego po sobie. Żartowałem, że nie mogę jej powiedzieć, jak bardzo potrzebowałem tej życzliwości.

– Wyglądasz na szczęśliwego – zauważyła.

– Naprawdę?

– A w każdym razie na szczęśliwszego niż zwykle – sprecyzowała. – Było dużo roboty?

Wzruszyłem ramionami.

– Jest spokojnie. Pozamiatalem. I usunalem troche odciskow malych ranczek z okien.

– Dzieci... kto ich potrzebuje? – skomentowała Karyn. To było pytanie retoryczne. Zamyśliła się.

– Gdyby było cieplej, mielibyśmy więcej klientów. Albo gdyby wreszcie wyszedł ten sequel Tate'a Flagherty'ego. Wtedy tłumy waliłyby do księgarni. Może powinniśmy go dać na witrynę. Co o tym myślisz? Coś związanego z Alaską, co pasowałoby do „Chaosu w Juneau”?

Skrzywiłem się.

– Mam wrażenie, że Minnesota ma już dość Alaski.

– W sumie racja.

Pomyślałem o mojej gitarze, zorzy polarnej nad głową i piosenkach, w których opiszę kilka ostatnich dni.

– Biografie muzyków to ładny temat na witrynę – zaproponowałem.

Karyn wskazała na mnie ołówkiem.

– Masz moje błogosławieństwo. – Opuściła ołówek i postukała nim w list leżący na biurku. Ten gest nagle przypomniał mi o Grace. – Sam, wiem, że Beck jest... chory i że to może nie być dla ciebie teraz priorytet, ale czy myślałeś już o college'u?

Słyszac to pytanie, skrzyżowałem ręce na piersi. Spojrzała na nie, jakby stanowiły część mojej odpowiedzi.

– Ja... jeszcze się nad tym za bardzo nie zastanawiałem – wydukałem. Nie chciałem, żeby myślała, że to z lenistwa, więc dodałem szybko: - Czekam, żeby się przekonać, którą uczelnię wybierze Grace.

Po chwili uświadomiłem sobie, że to stwierdzenie jest fałszywe z co najmniej trzech różnych powodów. Przede wszystkim dlatego, że przecież dziewczyna została oficjalnie uznana za zaginioną.

Jednak na twarzy Karyn nie widać było litości ani zdziwienia. Spojrzała tylko na mnie w zadumie, z zaciśniętymi ustami, gładząc palcami podbródek. Wtedy poczułem, jakby jakimś cudem wiedziała o nas i o tym, że Beck i ja ją zwodzimy.

„Nie pytaj”.

- Zastanawiałam się nad tym, bo jeśli nie idziesz od razu na studia, to chciałam wiedzieć, czy nie miałbyś ochoty pracować tutaj na pełen etat – wypaliła.

Tego się nie spodziewałem. Zupełnie mnie zatkało.

- Wiem, co myślisz. To nie są duże pieniądze. Ale podniosłabym ci stawkę godzinową o dwa dolary.
- Nie stać cię na to.
- Sprzedajesz dla nas dużo książek. Czułabym się lepiej, wiedząc, że to ty zawsze stoisz za ladą. Każdy dzień, kiedy siedzisz na tamtym stołku, to dzień, kiedy ja nie muszę się martwić, co się tutaj dzieje.
- Ja... - Tak naprawdę byłem jej wdzięczny za tę propozycję. Nie dlatego, że potrzebowałem pieniędzy, ale dlatego, że potrzebowałem zaufania. Poczuję, że się czerwienię i miałem ochotę się uśmiechnąć.

Karyn dalej naciskała:

- Czuję się trochę winna, że próbuję cię powstrzymać przed pójściem do college'u przez następny rok, ale jeśli i tak czekasz...

Usłyszałem dzwoneczek u drzwi. Jedno z nas musiało wyjść do klienta. Ucieszyłem się. Nie dlatego, żeby rozmowa była krępująca czy nieprzyjemna – wręcz przeciwnie. Potrzebowałem chwili, żeby przetrwać propozycję, spojrzeć na nią z dystansu, żebym był pewien swoich słów i wyrazu twarzy, gdy będę odpowiadał. Wydawało mi się, że wychodzę na niewdzięcznika, gdy zapytałem:

- Czy mogę się nad tym zastanowić?
- Zdziwiłoby mnie, gdybyś tego nie zrobił. – Karyn uśmiechnęła się. – Jesteś odrobinę przewidywalny, Sam.

Odwzajemniłem uśmiech i ruszyłem z powrotem na moje miejsce za ladą. Właśnie dlatego wyglądałem na zadowolonego, kiedy zobaczył mnie policjant.

Nagle pozytywny nastrój prysł. Ale uśmiech został na mojej twarzy o sekundę za długo – usta wciąż miałem rozciągnięte w emocji, która już przeminęła. Funkcjonariusz mógł tu być z wielu powodów. Mógł przyjść do Karyn albo wpaść na chwilę, żeby zadać mi jakieś szybkie pytanie. Ale przeczuwałem, że było inaczej.

To był William Koenig. Młody, skromny i w dodatku znajomy. Chciałem myśleć, że dzięki naszym poprzednim spotkaniom będzie mi przychylny, ale jego mina powiedziała mi wszystko. Celowo przybrał obojętny wyraz twarzy osoby, która niejedną raz żałowała swojej wcześniejszej życzliwości wobec kogoś.

- Trudno cię odnaleźć, Sam – zauważył Koenig, gdy powoli podeszedłem do niego.

Moje dłonie zwisające po bokach wydawały mi się bezużyteczne.

- Naprawdę? – zapytałem. Przyjąłem obronny ton, choć on rzucił swoją uwagę lekko. Nie zależało mi na tym, by łatwo mnie było znaleźć. Nie lubiłem też, gdy ktoś mnie szukał.
- Powiedziałem przełożonym, że tu najłatwiej na ciebie trafić – ciągnął dalej funkcjonariusz.
- W sumie to prawda. – Pokiwałem głową.

Czułem, że powinienem go zapytać: „W czym mogę panu pomóc?“, ale tak naprawdę nie miałem ochoty wiedzieć. Chciałem w spokoju przetrwać to, co przytrafiło mi się w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin.

– Właściwie to musimy ci zadać kilka pytań... - zaczęła Koenig.

Drzwi za plecami mężczyzny otworzyły się z cichym „dzyń” i do środka weszła kobieta. Miała gigantyczną fioletową torbę, na którą nie potrafiłem przestać patrzeć.

– Gdzie macie poradniki? – zapytała. Zdawała się obojętna wobec faktu, że stoi tu policjant. Może w normalnym świecie ludzie cały czas gawędzili niezobowiązująco z mundurowymi. Trudno mi było to sobie jednak wyobrazić.

Gdyby nie było tu Koeniga, stwierdziłbym na głos, każda kiedykolwiek napisana książka jest w pewnym sensie poradnikiem i zapytałbym ją, czego dokładnie szuka. A ona opuściłby księgarnię z czterema albo pięcioma książkami zamiast jednej. Byłem w tym naprawdę dobry. Ale funkcjonariusz wciąż patrzył na mnie z uwagą, więc rzuciłem tylko:

– Tam. Za panią.

– Na posterunku – kontynuował Koenig. – W spokoju i bez świadków.

Bez świadków.

Niedobrze.

– Sam? – ponaglił mnie policjant.

Uświadomiłem sobie, że wciąż obserwuję fioletową torbę kobiety snującej się po sklepie. Zadzwoń jej komórka i teraz nawijała przez telefon.

– Okej – zgodziłem się. – Rozumiem, że muszę, tak?

– Nic nie musisz. Ale bez nakazu sądowego czeka cie mniej nieprzyjemności – wyjaśnił Koenig.

Skinąłem głową. Słowa. Powinienem coś powiedzieć. Ale co takiego? Pomyślałem o Karyn na zapleczu, która uważała, że wszystko jest okej, bo ja siedzę za kasą.

– Muszę poinformować swoją szefową, że wychodzę. To potrwa chwilę.

– Oczywiście.

Ale poszedł za mną, gdy ruszyłem na tył sklepu.

– Karyn – zacząłem, opierając się za framugę. Starłem się, by mój głos brzmiał jak najbardziej swobodnie, ale nie udało mi się. Przyszło mi do głowy, że normalnie nie zwracałem się do niej po imieniu i poczułem się źle, czując to słowo w ustach. – Przepraszam. Muszę na trochę wyjść. Eee... funkcjonariusz Koenig chce mnie zabrać na przesłuchanie.

Przez chwilę wyraz jej twarzy pozostawał bez zmian, a potem rysy jej stwardniały.

– C o chce zrobić?! Jest tutaj teraz?

Odsunęła krzesło od biurka, a ja wycofałem się z zaplecza, żeby mogła stanąć w drzwiach i sama zobaczyć czekającego na mnie Koeniga, który wpatrywał się właśnie w jednego z papierowych żurawi podwieszonych przede mną na balustradzie antresoli.

– Co się tutaj dzieje? – zapytała swoim nieznoszącym sprzeciwu, rzeczowym tonem, którego używała w rozmowach z trudnymi klientami.

W takich sytuacjach jej głos był całkowicie pozbawiony emocji. Oboje nazywaliśmy go „biznesowym głosem Karyn”. Zamieniał ją w kompletnie inną osobę.

– Proszę pani – powiedział funkcjonariusz przepraszająco (to była naturalna reakcja każdego na ten profesjonalny ton) – jeden z naszych śledczych ma parę pytań do sama. Poprosił, żebym go przywiózł, żeby mogli pogadać bez świadków i w spokoju.

– Pogadać... - powtórzyła Karyn. – Czy to będzie tego rodzaju pogawędka, którą lepiej byłoby odbyć w obecności adwokata?

- To już zależy całkowicie od Sama. Ale w tym momencie nie jest o nic oskarżony.

W tym momencie.

Oboje to usłyszeliśmy. „W tym momencie” to był eufemizm dla „jeszcze nie”. Karyn spojrzała na mnie.

- Sam, chcesz, żebym zadzwoniła do Geoffreya?

Wiedziałem, że wyraz mojej twarzy nie zdradził, bo sama odpowiedziała sobie na pytanie:

- Nie można się z nim skontaktować, prawda?
- Dam sobie radę – zapewniłem.
- Mam wrażenie, że to się ociera o nękanie – zwróciła się Karyn do Koeniga. – Mój pracownik jest łatwym celem, bo nie jest taki jak wszyscy. Gdyby Geoffrey Beck był w mieście, czy prowadzilibyśmy tę rozmowę?
- Z całym szacunkiem, proszę pani – teraz odciął się Koenig – gdyby Geoffrey Beck był w mieście, to prawdopodobnie jego chcielibyśmy przesłuchać.

Karyn zamilkła z nieszczęśliwym wyrazem twarzy. Policjant wskazał w kierunku wyjścia. Zobaczyłem czekający na nas radiowóz zaparkowany przed sklepem.

Byłem jej ogromnie wdzięczny za to, że stanęła w mojej obronie.

- Sam, zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował. Albo jeśli nie będziesz się czuł komfortowo. Czy chciałbyś, żebym teraz z Toba pojechała? – zapytała.
- Dam sobie radę - powtórzyłem.
- Nic mu nie będzie – pocieszył Koenig. – Nikt nie będzie przypierał go do muru.
- Przepraszam, że muszę wyjść – zwróciłem się do Karyn. W soboty rano zazwyczaj przychodziła tylko na parę godzin, a potem zostawiała sklep w rękach tego, kto akurat pracował. Dziś zepsułem jej cały dzień.
- Och, Sam. Nie zrobisz nic złego – pocieszyła mnie, po czym podeszła i mocno mnie uściskała. Pachniała hiacyntami. Jej profesjonalizm zniknął, gdy zwróciła się do Koeniga oskarżającym tonem: - Mam nadzieję, że naprawdę uważacie, że warto jest robić to całe widowisko.

Policjant poprowadził mnie w kierunku drzwi. Byłem absolutnie świadomy tego, że kobieta z fioletową torbą obserwuje mnie, wciąż z komórką przy uchu. Oboje usłyszeliśmy, jak rozmówczyni po drugiej stronie linii pyta: „Aresztują go?”.

- Sam – zwrócił się do mnie Koenig. – Po prostu mów prawdę, okej?

Nie miał pojęcia, o co prosi.